

Nie zmarnuję drugiej szansy

To nie była moja pierwsza interwencja. Od ponad dwóch lat udzielałam się w stowarzyszeniu „Pieskie życie”, które zajmowało się opieką nad zwierzętami. Ratowaliśmy rozjechane jeże, sterylizowaliśmy bezpańskie koty, dokarmialiśmy zimą ptaki, ale przede wszystkim zabieraliśmy zwierzęta z rąk nieodpowiedzialnych ludzi.

Moja przygoda z wolontariatem nie zaczęła się tylko dlatego, że poruszało mnie cierpienie zwierząt. Oczywiście pękało mi serce na widok umierającego z głodu psa, jenotów hodowanych na futro w za małych klatkach, ślepych kociąt skazanych na śmierć zaraz po przyjściu na świat. Większe jednak emocje budzili we mnie ludzie, którzy głodzili swoje psy, którzy byli zdolni obedrzeć żywego jenota ze skóry, którzy bez wyrzutów sumienia potrafili te kocięta utopić. Wszyscy oni spokojnie patrzyli sobie codziennie w twarz. Nie mogłam tego pojąć.

Dlatego, gdy w połowie kwietnia Andrzej zadzwonił, żeby zapytać, czy pojadę na kolejną interwencję, myślałam, że będzie jak zawsze – znów trafimy na ludzkich potworów. Ale oczywiście się zgodziłam. W tamtym czasie dzieliłam życie na pół: praca – fundacja. Jeszcze tego samego dnia pod wieczór ruszyłam na Zacisze wraz z dwoma kolegami – Patrykiem, byłym policjantem i Przemkiem, studentem filozofii.

– Jedziemy do pani Hanny S. Interwencja została zgłoszona dziś rano przez osobę, która chciała zostać anonimowa – zaczął Przemek. – Pani Hanna trzyma w niewielkim mieszkaniu kilka psów, które zakłócają spokój sąsiadom. Szczekanie, smród i takie tam – uciął sucho. – Pani Hanna S. jest prawdopodobnie niezaradna życiowo i psy nie mają zapewnionej należytej opieki, są zaniedbane pielęgnacyjnie i wychudzone.

– Klasyka rocka – skomentował Patryk. Zналиśmy to. Starsze osoby chętnie przysparzają zwierzęta, żeby mieć rozrywkę. Często niestety nie potrafią poprzestać na jednym psie albo kocie. Urządzają więc w mieszkaniu menażerię, nad którą potem całkowicie tracą kontrolę – zwierzęta rozmnażają się na potęgę, bo o wizycie u weterynarza ludzie już nie pomyślą. Szkoda im zachodu i pieniędzy.

Pani Hanna mieszkała w bloku z wielkiej płyty na parterze. Gdy tylko weszliśmy na klatkę, już wiedziałam, że dobrze trafił mi się. W powietrzu unosił się drażniący

zapach mokrej sierści. Nie słysząc było jednak żadnego szczekania. Zadzwoniliśmy pod numer 4.

– Pani Hanna S.? – zaczął Patryk, gdy w drzwiach stanęła siwa, malutka, zasuszona staruszka w szlafroku w kwiaty.

– Tak. A wy kto? Jak Jehowe to nie rozmawiam! – rzuciła stanowczo.

– Szanowna Pani – podjął Przemek – jesteśmy przedstawicielami organizacji społecznej, której statutowym celem działania jest ochrona zwierząt – wyrecytował. – Działając na mocy ustawy o ochronie zwierząt z dnia 21 sierpnia 1997 roku, chcielibyśmy...

– Statuco? – popatrzyła na nas zdziwiona.

– Z milicji jesteście?

– Szanowna Pani, jesteśmy ze stowarzyszenia „Pieskie życie” – pokazałam identyfikator. Sprawdzamy, czy zwierzątka są szczęśliwe w swoich domach.

– A! To ładnie, ładnie. Zwierzątka trzeba kochać – pokiwała głową.

– Czy moglibyśmy zobaczyć, w jakich warunkach żyją psy, którymi się pani opiekuje – zapytałam łagodnie.

– Warunkach? W najlepszych! – uśmiechnęła się. – Przygarniam wszystkie bidoki. Wejdźcie, wejdźcie! – zaprosiła nas ruchem dłoni. – Tylko uwaga, nie nadepnąć na Mopsika! Jest już taki stary, jak ja. I zupełnie niegramotny.

Kawalerka do której weszliśmy, nie wyglądała zachwycająco. Na podłodze mocno wysłużona mozaika z PCV, ściany brudne, w łazience grzyb, a do tego straszny zaduch, bo gospodyni na tej małej powierzchni trzymała sześć kundli. Gdy zobaczyłam w jakim stanie są psy – wychudzone i chorobliwie ospałe – wezbrała we mnie złość. Już chciałam coś zacząć ostro pouczać gospodynię, ale kiedy przyjrzałam się starszej pani, ugryzłam się w język. Ona sama nie wyglądała lepiej. Była wychudzona, blada, oddychała ciężko. Przekrzywiła głowę lekko w bok i kiwała nią od czasu do czasu, uśmiechając się przy tym z dobroćliwie a jednocześnie głupkowato.

Podeszłam do psa, leżącego na fotelu w kuchni.

– To Reksio – powiedziała starsza pani. – Przygarnęłam go z ulicy rok temu. To urwis.

Reksio jednak na urwisa nie wyglądał, w zasadzie w ogóle nie wyglądał. Sapał ciężko, był odwodniony, a ogon i jedną łapę miał pogryzioną do krwi.

– Długo już ten piesek tak leży.

– Zmęczony to leży – wzruszyła ramiona-

mi. – Wcześniej se hasał – uśmiechnęła się.

Założyłam gumowe rękawiczki i zaczęłam dokładniej przyglądać się Reksiovi – po-
zlepiana, za długa sierść, świeżbowcowe zapalenie ucha.

Dwa inne pieski – Boks i Miś – wyraźnie się ożywiły, gdy weszliśmy do mieszkania. Ich stan był zdecydowanie lepszy, z racji masy częściej udawało im się pewnie dostać do miski. Prawdopodobnie to one pogryzły Rekksa. Kolejny zwierzątko, czarny jamniczka Pedro miał grzybicę skóry, która była tak zaawansowana, że prawie wyłysiał na pysku. Zuza – rudy kundel miała zapalenie spojówek. W przejściu do pokoju leżał Mopsik – stare, siwe, wielkie psisko. Miał duży kamień nazębny, który z pewnością przeszkadzał mu jeść.

Skończywszy oględziny ostatniego psa podeszłam do Przemka, który wypełniał sprawozdanie po rozmowie z gospodynią i zaczęłam szeptem:

– Trzeba będzie je wszystkie zabrać. Reks jest skrajnie niedożywiony, a rana na łapie śmierdzi.

– Przerąbane. Patrz, w jakich ona mieszka warunkach. Nie ma nikogo bliskiego, żeby się nią zajął? Przecież ona sama wygląda jak tysiąc nieszczęść – westchnął ciężko Przemek.

– No, tak. Jak nie umie o siebie zadbać, to jak zadba o zwierzęta – denerwowałam się. – Po co jej sześć psów w takim małym mieszkaniu? Z jednym byłoby trudno.

– Ona sobie w ogóle nie zdaje sprawy z tego, że o nie nie dba. Do weterynarza nie chodzi, bo jej na to nie stać. Karmi je rozmoczonym w cienkiej zupie chlebem, ziemniakami i makaronem, czasem karmą z Biedronki. Ale zdarza się, że zapomni im tej karmy wsypać do miski.

– A wtedy głodują – dodałam sentencjonalnie.

Niestety nie mieliśmy wyjścia.

– Pani Hanno, pani pieski są bardzo chore. Niestety nie potrafi się pani nimi dobrze opiekować – zaczął Patryk.

– Ale ja kocham pieski, kocham.

– Nie wątpię, ale one za mało jedzą i powinny zostać zbadane przez weterynarza. Reksio jest w bardzo złym stanie – nie ustępował.

– Wychodzi pani z nimi na spacer? – zapytałam.

– Chodzę. Ale jak pada, to mnie reumatyzm boli i wtedy muszę sobie poleżeć, to puszczam je samopas na podwórko. Madre, to same wracają. A nawet jak sobie tam jeden z drugim na dywanik na-

robi, to przepiorę i już – machnęła ręką. Zrobiło mi się smutno.

– Proszę pani, nie ma pani nikogo bliskiego? Dzieci, wnuki?

– Nie, tylko pieski – znów uśmiech.

– Niestety musimy pieski zabrać – powiedział Patryk. – Muszą pojechać do lekarza, muszą się porządnie najeść.

Stałam jak wryta. Patrzyłam na starszą panią, która cały czas, trochę bezmyślnie, się do mnie uśmiechała, zupełnie nieświadoma tego, co zaraz się wydarzy. Dopiero, kiedy chłopcy przynieśli transportery z samochodu dla mniejszych psów i kagańce, pani Hanna zaniepokoiła się. I wtedy się zaczęło. Gdy Patryk podszedł, by zabrać Rekxa, rzuciła się w jego stronę. Wtuliła twarz w psią sierść i zaczęła płakać:

– Nie oddam go, to mój piesek kochany. Zostawcie nas dranie. Dranie. Ratunku! Pomocy!

Byliśmy już trochę otrzaskani z takimi scenami, bo to nie pierwszy i nie ostatni właściciel, który nagle przypominał sobie, jak bardzo kocha swoje zwierzątko. Ale pani Hanna była inna. Opiekowała się tymi psami na tyle, ile umiała. Ale nikt nie opiekował się nią.

W takich momentach mieliśmy jednak odgórny nakaz od Andrzeja, który zawsze nam powtarzał:

– Nie ratujemy ludzi! Od tego jest pomoc społeczna, MOPS, straż miejska, pogotowie opiekuńcze, policja. Robimy to dla zwierząt, bo oprócz nas nie mają nikogo po swojej stronie.

Andrzej był sercem i mózgiem całego zespołu, jak nikt znał się na prawie cywilnym i karnym, choć z zawodu był pielęgniarzem. Jego zasady były jednak trudne, zwłaszcza dla niektórych dziewcząt. Nierzadko bowiem za drzwiami domów zastawaliśmy nie tylko zabiedzonego psa, ale i brudne, obszarpane dziecko. Ale ja popierałam Andrzeja całym sercem, może z natury nie czułam do ludzi zbyt dużo empatii.

Wreszcie starsza pani odkleiła twarz od psiego pyska, siadła na podłodze i przytuliła się do Mopsika.

– Mopsiku kochany, co oni robią. Ciebie mi nie zabiorą. Złodzieje! Człowiek jak stary to nawet pieska mu mieć nie wolno – łkała tak żałośnie, że całym jej ciałem wstrząsały dreszcze.

– Pani Hanno, proszę się uspokoić. Pani zwierzątki potrzebują pomocy weterynarza. Są bardzo chore. Pani nie daje rady opiekować się taką gromadą – usiłowałam

do niej dotrzeć.

– To niechże mi pani zostawi Rekxa i Mopsa chociaż.

– Reks zdechnie jeśli nie pojedzie zaraz do lekarza – dodałam z naciskiem. – Proszę się nie martwić trafią w dobre ręce – dodałam.

Znów zaczęła płakać.

Wreszcie udało nam się zabrać wszystkie psy i zawieźć je do naszego kolegi, weterynarza. Potwierdził nasze diagnozy. W najgorszym stanie był Reks, kiepsko trzymał się także Pedro, jamnik z grzybicą skóry. Potem zwierzątki porozwoziliśmy po domach tymczasowych. U mnie miał zatrzymać się Mops. Do domu wróciłam po północy. Wykapałam psa, podłączyłam mu zaleconą kroplówkę i dałam jeść. Był spokojny, ale oswiały i w przeciwieństwie do innych psów nie miał apetytu. Nie zareagował nawet na moje koty, które ochoczo zaczęły go obwąchiwać.

Gdy tak patrzyłam na smutnego, wielkiego psa, który zasnął skulony w rogu pokoju, pomyślałam o pani Hannie. Przecież nie może być tak, żeby nikt tej kobiecie nie mógł pomóc. Przecież to jasne, że nie tylko nie pamięta, aby dać jeść psom, ona nie pamięta o tym żeby samej zjeść, samej pójść do lekarza, posprzątać, czy się wykąpać. Wyglądała na zrezygnowaną.

Dwa dni później postanowiłam odwiedzić starszą panią. Pojechałam do niej zaraz po pracy. Dzwoniłam długo, ale nikt mi nie otwierał. Naciśnęłam klamkę, drzwi były zamknięte.

– Szuka pani kogoś – usłyszałam kobiecy głos.

To sąsiadka z naprzeciwka.

– Szukam pani Hanny S. spod 4.

– A! Biedaczkę pogotowie zabrało we wtorek na sygnale – dodała z poważną miną, bacznie mi się przyglądając.

– Co się stało?

– A pani to kto, że się dopytuje – zmarszczyła brwi.

– Wolontariuszka.

– A że niby pomagacie starym ludziom za darmo – zakpiła.

– No, coś w tym stylu – bąknęłam i oblałam się rumieńcem.

– Ech – westchnęła, wahając się, czy może mi zaufać – dokładnie to nie wiem. Ale ponoć te psy, którymi się opiekowała, zabrali jej obrońcy zwierząt. I dobrze, bo smród na klatce był tylko. No ale, jak zwierzątek zabrakło, to się biedaczka pochorowała.

– A wie pani, w którym jest szpitalu?

– A co, Duch Święty jestem – przeżegna-

ła się – żeby takie rzeczy wiedzieć. Pani podzwoni i popyta po szpitalach i tyle. Do widzenia – zamknęła drzwi.

Stałam jeszcze chwilę na korytarzu bezradna i zdenerwowana. W końcu wróciłam do auta i zaczęłam dzwonić po placówkach medycznych. Wreszcie znalazłam panią Hannę w wojewódzkim szpitalu specjalistycznym. Pojechałam tam od razu.

Leżała na kardiologii. Okazało się, że pogotowie zabrało ją na drugi dzień po naszej wizycie ze stanem przedzawałowym. Starszą panią w kiepskim stanie znalazł listonosz i to on wezwał pomoc.

Kiedy podeszłam do niej, spała. Jej niewielka, siwa głowa prawie zapadła się w poduszkę. Wyglądała jeszcze starzej niż w dniu, kiedy przyjechaliśmy do niej po psy. Poglaskałam ją po dłoni – sucha, chłodna skóra. Nagle uderzyło mnie, że właściwie nie wiem, co robię. Przecież pracujemy dla zwierząt, nie ludzi. Mamy się nie angażować, możemy jedynie wezwać pomoc. W tym wypadku jednak, wiedziałam doskonale, że jeśli ja nic dla niej nie zrobię, to nikt nie zrobi.

Kobieta przebudziła się i spojrzała na mnie dość przytomnym wzrokiem.

– O, to pani zabrała pieski – nie uśmiechała się.

– Tak. Jak się pani czuje?

– A jak się czuć, jak się jest stara, samotną babą – odwróciła się w stronę okna.

– Nie ma pani nikogo, kto by się panią zajął? – zapytałam, siadając przy jej łóżku.

– Nie mam. Pieski miałam, ale przyszli i zabrali.

– Nie mieliśmy wyboru, pieski potrzebowały pomocy, pani też jej potrzebuje.

– Kto się tam starym babskiem będzie opiekować!

Nie miałam żadnego planu, pomysłu i nie wiedziałam, co mogę zrobić. Dlatego jedynie się uśmiechnęłam, łapiąc ją za rękę. W duchu jednak postanowiłam, że nie odpuszczę. Musi być jakieś wyjście.

– Ośrodek Pomocy Społecznej – powiedział Patryk, gdy kończyliśmy z jego żoną tego samego wieczoru jeść kolację.

Pod stołem bawiły się rozochoczone i już całkiem zadowolone z życia dwa psy pani Hanny – Boks i Miś.

– Osoba starsza, tym bardziej samotna, która nie radzi sobie z codziennymi sprawami może otrzymać pomoc. Nazywa się to usługami opiekuńczymi. Pracownik Opieki przychodzi do domu i pomaga w sprzątaniu, myciu, zrobieniu zakupów, umawia do lekarza – podjęła jego żona.

– Za darmo – zainteresowałam się.

– Gdzie tam – Patryk machnął ręką. – To znaczy, jeśli ma się skrajnie niskie dochody, to tak. A jeśli nie, płaci się za godzinę ok. 10–11 złotych. Ale po skończeniu 75. roku życia można się ubiegać o bezterminowy zasiłek pielęgnacyjny. To zawsze coś – podsumował.

– Dla mojej mamy, która mieszka na drugim końcu Polski, załatwiliśmy takiego opiekuna. Jest zadowolona.

– Wiecie – zaczęłam – poza tym, że pani Hania miała prawie przez nas zwał – skrzywiłam się – to zdrowie, jak na swój wiek, ma nienajgorsze. Cukier, cholesterol w normie, ciśnienie lekko podwyższone. Jest sprawna, chodzi, gorzej widzi, ale wystarczą jej okulary. Najgorzej to ona się czuje psychicznie, jest smutna i przybita. Nie chce jeść, nie chce wstawać.

– Zabraliśmy jej jedynych przyjaciół – westchnął Patryk.

– Musimy jej to teraz wynagrodzić – uśmiechnęłam się, bo czułam, że znalazłam już rozwiązanie.

Nazajutrz znów odwiedziłam starszą panią. Wciąż była markotna. Opowiadałam, jak się czują wszystkie pieski, a potem zaczęłam mówić o naszej pracy w stowarzyszeniu i widziałam, że pani Hania się ożywiła. Miała serce dla zwierząt. W końcu udało mi się przekonać ją do zjedzenia całej zupy.

I stało się. Zaczęłam przychodzić codziennie. Przynosiłam owoce, piekłam jej ciastka, zabierałam na spacer. W pracy robiłam zbiórki pieniędzy. A że pracowałam w wielkiej firmie udało się zebrać tyle, że mogliśmy kupić pani Hani kuchenkę i trochę ubrań. W weekend razem z chłopakami – Patrykiem i Przemkiem – pojechaliśmy do jej mieszkanka i gruntownie je wysprzątałyśmy.

Wyszorowaliśmy podłogi, umyliśmy okna i przemalowaliśmy wszystkie ściany. Największą batalię trzeba było stoczyć z łazienką – ale się udało. Chłopcy naprawili pralkę, a ja od razu zabrałam się za pranie ubrań pani Hani. Zainstalowaliśmy nową kuchenkę, dokupiliśmy kilka talerzyków, szklanek, kolorowe poduszki, kilka obrazków do powieszenia na ścianę. Wyszło ślicznie!

W niedzielę popołudniu pojechałam do naszej znajomej. Czuła się już całkiem dobrze, a na mój widok wyraźnie się ucieszyła.

– Jak miło cię widzieć, kochanieńka.

– Świetnie pani wygląda!

– No, trochę mnie tu na nogi postawili! – uśmiechnęła się.

– Przyniosłam pani zdjęcia piesków – wyciągnęłam z torebki niewielką kopertę i usiadłam na łóżku. – Proszę zobaczyć. To Pedro – pokazałam pierwsze zdjęcie – już zagoił mu się pyszczek. Oczka Zuzy też się już wygoiły i znaleźliśmy dla niej nowy dom, zaadoptuje ją rodzina z dwójką małych dzieci – uśmiechnęłam się i spojrzałam na panią Hanię.

– Z dziećmi... – powtórzyła cicho.

– Tu Boksik i Miś w domu Patryka. Prawdopodobnie zostaną już u niego, bo Patryk jest na emeryturze, ma dużo czasu i wielki dom z ogrodem. No i cztery koty – zaśmiałam się – ale na razie zwierzaki jakoś się dogadują. Schodzą sobie z drogi.

– Ładnie tam – westchnęła smutno.

– Ładnie – przytaknęłam.

– Reksio jest jeszcze w lecznicy, ale weterynarz mówi, że wyzdrowieje. Szukamy mu nowego domu. To młody i śliczny piesek, więc sadzę, że znajdą się ludzie, którzy go pokochają.

– Reksia nie można nie kochać – dodała poważnie. – A Mops?

– Mops jest u mnie – na jej twarzy zobaczyłam wyraźną ulgę. – Tęskni za panią, jest trochę markotny. Ale czuje się dobrze. Został przebadany, wykastrowany, dokarmiony i zaszczepiony.

– To stary pies, taki stary jak ja. I dobry, wierny, spokojny, mądry. Ktoś go weźmie – zapytała z rezygnacją.

– Jeszcze nie wiemy. Ludzie rzadko biorą stare psy, większość woli szczeniaczki, bo śliczne – dodałam z przekąsem. – Jutro panią wypisują do domu?

– Tak.

– Cieszy się pani.

– E, co to za dom bez piesków – spuściła głowę.

Nazajutrz panią Hanię ze szpitala odebrał Patryk. Ja byłam w pracy, a Przemek na zajęciach. Nasz kolega zabrał na to spotkanie ze sobą Boksa i Misia, żeby się mogły zobaczyć ze swoją opiekunką. Nie tylko ją poznały, ale serdecznie ucieszyły się na jej widok. Bo może nie potrafiła się nimi zaopiekować, ale bardzo je kochała. Jakie było jej zdziwienie, gdy weszła do swojego mieszkania. Patryk opowiadał, że myślała, że pomyliła lokale. Kiedy wreszcie dotarło do niej, że to ta sama kawalerka, w której mieszka od lat – popłakała się.

Patryk zrobił jeszcze jedno – napisał wiosek do Opieki Społecznej o przydzielenie pani Hani opiekuna oraz zasiłku pielęgnacyjnego. Decyzja miała zapaść w przeciągu kilku dni, a do tego czasu postano-

wiliśmy we trójkę odwiedzać panią Hanię na zmianę.

Mimo że pani Hania nie miała już przy sobie swoich psich przyjaciół, na naszych oczach rozkwitła. Zrobiła wnukowi Patryka sweterek na drutach, zaczęła gotować, bo wreszcie miała sprawny sprzęt i okulary, zaczęła w ogóle wychodzić z domu i zakolegowała się z sąsiadką z naprzeciwka. Dwa tygodnie później postanowiłam odwiedzić naszą znajomą wraz z Mopsem. Zastaliśmy ją na ławce w parku, pochyloną nad robotką ręczną. Mops zaszczekał radośnie i zaczął machać ogonem tak mocno, że aż trząśł mu się cały zadek. Pani Hania, kiedy go zobaczyła, zaniemówiła z wrażenia, wstała i wtuliła się w jego futro.

– Mopsiku kochany, jak ty świetnie wyglądasz!

– Pani także wygląda doskonale.

– Takich dobrych ludzi spotkałam na starość – spojrzała na mnie z uznaniem.

– Choć przyznam, że nie spodziewałam się po Was na początku niczego dobrego – pogroziła mi palcem, a potem zaczęła głaskać z czułością psi pysk.

– Pani Haniu – zaczęłam, gdy usiadłyśmy na ławce. – Świetnie sobie pani radzi. Od poniedziałku będzie do pani przychodzić opiekunka z MOPS-u. My też będziemy do pani zaglądać.

– Nie zapomnicie o starej babie? – zapytała z lękiem.

– Oczywiście, że nie! – zapewniłam ją gorąco. – Mam jeszcze jedną niespodziankę. Postanowiliśmy zwrócić pani Mopsa. Ale tylko pod warunkiem, że zadba pani o niego. Spaceruje dwa razy dziennie, codziennie świeża woda.

Pani Hania miała łzy w oczach.

– Będzie miał u mnie cudownie. Obiecuję – otarła oczy i westchnęła. – Wie pani, pani Karolinko, wcześniej myślałam, że pieski mają u mnie dobrze, bo się nie wałęsają. Wychowałam się na wsi, mój ojciec weterynarza wezwał raz, jak krowa nie mogła urodzić. Pies se radził sam. Jadł to, co ze stołu spadło i tyle – dodała z naciśkiem. – Stara głupia baba ze mnie.

Mops położył pysk na kolanach swojej pani i czule wpatrywał się w jej twarz.

– On tak nie myśli – powiedziałam.